

Część I

TECHNIKA A ŚRODOWISKO

<https://doi.org/10.18778/0208-6107.10.02>

*François Guéry**

CZŁOWIEK I PRZYRODA W ERZE TECHNICZNEJ

Trudno wyobrazić sobie przyszłe katastrofy, a także przyszłość jako katastrofę według modelu z przeszłości, nawet tej niezbyt odległej. Zmiana filozoficznego klimatu, naukowych paradygmatów, organizacji społecznej i przemysłowej, środków technologicznych mają wpływ na sposób, w jaki uprzytamniamy sobie zagrożenie lub czyhające niebezpieczeństwo. To sygnał, że weszliśmy w erę ryzyka, a mianowicie ryzyka technologicznego. Tak więc nieszczęściu nagłemu, które uderza silnie, ale krótko, dajemy inną nazwę: wypadek. Ale także – kosztem nowych dwuznaczności – zostaje obłaskawiony śmiertelny strach przed końcem świata, tym nieszczęśliwym wypadkiem, co ugodzi raz na zawsze i przerwie już nie historię indywidualną swoich ofiar, lecz odetnie nas od naszych początków i zorientuje ku nieznannej przyszłości.

Narażanie się na ryzyko, nie koniecznie jest tym samym co jego podjęcie, lecz oznacza wiedzę, że żyjemy w wyznaczonych przez nie warunkach, bez możliwości odwrócenia tego niekorzystnego układu sił. Aby przejść od razu do tego, co najbardziej spektakularne, do tego znaku czasów współczesnych, zdajemy sobie dobrze sprawę z faktu, że nasze dni są zawisłe od dobrego funkcjonowania – całkowicie podległego przypadkowi – elektrowni atomowych, urządzeń przeznaczonych przecież do celów pokojowych. To nieustanne ryzyko (uwikłane w serię innych, związanych z obróbką, składowaniem, transportem i użytkowaniem pozostałych źródeł i rezerw energetycznych) nie wiąże się z konfliktem nuklearnym. Ryzyko to wzbudza rodzaj moralizatorstwa, przedstawiającego szaleństwo ludzkości jako ziemskie źródło jej zagłady, zaś katastrofę nuklearną jako tej zagłady replikę niebiańską. Szaleństwa ludzkości, dowodzi się, przywołując sytuację, w której jeden człowiek (lub dwóch, zajmujących symetrycznie miejsca przed czerwonymi, śmiercionośnymi przyciskami) ma możliwość wywołania termonuklearnej apokalipsy. To właśnie ona gromadzi niszczycielską moc, koncentruje ją, automatyzuje aż do absurdu mechanizmy jej uwolnienia, aby uczynić z prostego przycisku symbol kruch-

* Wykładowca filozofii w Uniwersytecie Lyon II.

ści naszych zabezpieczeń wobec naszego własnego zła. W niezupełnie przebrzmiałej obsesji fatalnego gestu odnajdujemy tradycyjalistyczną krytykę ułatwień naszych działań. Czyż nie jest szaleństwem zastąpienie odwiecznego znoju, zarządzanego przez rozgniewanego boga, niewolnikiem-robotem, którego zwykła dźwignia zmusza do pracy zarówno w fabryce, jak i w kuchni, w salonach czy też na drogach.

Pokojowe użytkowanie energii nuklearnej, wbrew temu co się sądzi, nie stanowi „największego ryzyka technologicznego” tylko dlatego, że sen o energii całkowicie ujarzmionej jest już tylko wspomnieniem. Tym samym najbliższa przeszłość poświadcza właśnie nasze złudzenia, łącznie z tym, co niesie strach przed końcową apokalipsą. To nie w wyniku wypadku czy też ataku szaleństwa ludzkości grozi nam nadejście końca w najbliższej przyszłości; żaden zdrowy rozsądek, żadne braterskie porozumienie nie ma szans przepędzić złego ducha przeznaczenia atomowego. Nie potrzeba już wyjątkowych okoliczności, aby wypadek mógł zagrozić, ponieważ on już się wydarzył pośród rutynowych czynności i z powodu biurokratycznej ociężałości. Wraz z pęknięciem reaktora na Three Miles Island, jak też z nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nieudanego eksperymentu w Czernobylu, dano nam próbkę braku niezawodności działania sprawdzonych urządzeń kontroli, co prawda wśród personelu niezręcznego i nie panującego nad sytuacją, ale zupełnie nie poddającym się niszczyielskiemu szaleństwu. Trzeba więc przyznać, że wypadek stanowi chroniczne ryzyko, które każda instalacja elektrowni musi wziąć pod uwagę i które jest realnie włączone w każdy projekt instrukcji obsługi jako możliwe.

Warto zauważyć, że to właśnie w atomistyce, z powodu rozległości możliwych do przewidzenia szkód, zastosowanie scenariusza, tego pojęcia fikcji z dziedziny kinematografii, znalazło swe miejsce w planie przemysłowym. Poczynając od prostej możliwości (*hasard analysis*: analiza przypadków), aż do tego, co bardziej prawdopodobne (nieudolność, przypadkowy rozwój), historia katastrofy, zamiast stać się niepewnym ciągiem dalszym, weszła a priori jako ewentualność do parametrów realizacji. A to znaczy, że nie ma już ogólnej opozycji między toczącym się życiem a przerywającym je wypadkiem. Trzeba właśnie nieustannie „żyć” z wypadkiem i w strachu przed nim – oto dodatkowy i decydujący wymiar historii.

Prawda o atomistyce, głównym źródle energii wchodzącej w grę, ponieważ zagiada przez nią spowodowana będzie absolutna, jest także prawdą a fortiori o innych źródłach energii, które stanowią słabszy wariant większego ryzyka. Tak w czasie, jak i w przestrzeni nowoczesna technologia przydziela wypadkowi oraz zniszczeniu status permanentny, wszechobecny, a zarazem dający się analizować, jak i obliczyć: stawia nas ona wobec ryzyka uregulowanego.

Ryzyko technologiczne można było odróżnić od ryzyka „naturalnego”, kiedy urządzenia techniczne były jeszcze wyjątkiem pośród krajobrazu co-

dzienności. O d k i e d y jednak upowszechniły się one, aby stać się głównym elementem środowiska, w którym żyjemy, nieodłączne od nich niebezpieczeństwo musi się rozplątać w uczuciu zażyłości z nimi; uczuciu, które stępią ostrze tego niebezpieczeństwa.

Ryzyka technologicznego nie można się pozbyć w sposób dowolny, jak to zdarzało się dawniej w pewnych spektakularnych przypadkach z technicznymi urządzeniami, które mogły być skazane na wygnanie, gdyby doszło do wypadku. Energia nuklearna nie jest naganna, skoro żadne inne rozwiązanie dotyczące wytwarzania energii nie będzie mogło jej zastąpić, przejąć jej funkcji w życiu zbiorowym. Powrót do starych form (drewno, węgiel) pociągający za sobą zanikanie czynników decydujących dla życia, nie jest poważnym argumentem w dyskusji na temat ryzyka związanego z atomistyką, nawet biorąc pod uwagę gwałtowne ostrzeżenia, które skłaniają do poważnego zastanowienia. Przeciwnie, jeszcze nie tak dawno, gdy niepowodzenie technologiczne ujawniało swą przyczynę, wywoływało potępienie opinii publicznej skierowane na innowację, której zniknięcie konstatowano bez żalu. Pożar „Hindenburga”, gigantycznego zeppelinu, owego super-Concorde’a będącego znakiem nowoczesności tamtych czasów, kładzie kres odwiecznym marzeniom o aparatach latających, lżejszych od powietrza. Widowiskowa atrakcyjność jakiegoś pojedynczego urządzenia technicznego nie czyni go odpornym na awarię. Atomistyka zaś pomimo wszystko opiera się swym katastroficznym ułomnościami, ponieważ cała tkanka komfortu w przemyśle i w gospodarstwie domowym zależy od niej, napotykających na przeszkody, działań. Zdażyło się, że kinematograf pogrążony niegdyś został w oczach opinii publicznej jako ognisko możliwego pożaru. Świadczy o tym stwierdzenie Georges’a Sadoula analizujące skutki katastrofy Bazaru de la Charité: „W końcu 1897 r. utrata zaufania, w jaką popadło kino, jest tak ogromna, że można ją uważać za definitywną”. A to dlatego, że wynalazek ten stając się szeroko dostępny, uzależniony był od niepewnych warunków lokalnych (konieczność używania lamp na eter, tandetnych i łatwopalnych dekoracji, trudności przy wejściu i przy wyjściu z pomieszczeń rzeszy widzów oraz prowizoryczny charakter instalacji). Zarówno co do koncepcji, jak i co do realizacji, technika grożąca ryzykiem jest usuwalna: można się bez niej obejść, gdy się tego zapragnie. Jeśli zatonięcie „Titanica” nie kładzie kresu wykorzystywaniu wielkich parowców, to jednak na długo zakłóca sen o światowym, pełnym luksusu życiu pośrodku oceanu, mit o widowiskowej wycieczce.

Wypadek kładł kres zbyt ryzykownym technologiom; dzisiaj, wkalkulowany w proces postępu technologicznego, umożliwia krytyczne podejście do techniki, co pozwala określić najmniejsze zło. Między jedną a drugą koncepcją, na przestrzeni niecałego stulecia, kurczyła się i rozciągała tkanka cywilizacyjna, gwarantująca spójność życia ludzkiego, a tworząca całość zbyt organiczną, aby można było pozwolić na jej konsekwentne okaleczanie.

Technologia początkowo miała charakter lokalny: zajmowała jakieś miejsce i to ściśle określone. Tego rodzaju są właśnie spektakularne przypadki balonów powietrznych, gigantycznych parowców oraz łodzi podwodnych, które rzucały wyzwanie żywiołom, a więc były od nich uzależnione; można nawet uważać, że typowe dla wielkiego przemysłu źródła energii, związane z ziemią (drewno i węgiel) mogą powodować katastrofy jedynie miejscowe, albo – jeśli kto woli – terytorialnie ograniczone. Zawalenie się chodnika w kopalni, z którego *Germinal* Zoli czyni paradygmat katastrofy przemysłowej, dając sygnał do rewolucji duchowej i socjalnej, jest realnie rzecz biorąc zjawiskiem ściśle ograniczonym. Zniszczenie, zdemoralizowanie całego osiedla górniczego jest skutkiem porzucenia pracy w czasie strajku w Montsou, a nie jej wykonywania.

Przeciwnie, większe ryzyko technologiczne (bardziej groźne, ale również związane z bardziej rozwiniętą technologią) obejmuje obszar nieograniczony, ma nieokreślony zasięg, a w każdym razie pozbawiony bezpośredniej łączności z siedliskiem katastrofy. Wiele żartowano, nazajutrz po katastrofie w Czernobylu, na temat uszanowania granic Francji przez obłok radioaktywny; cudem, jeśli wierzyć autorytetom zainteresowanym rozwojem atomistyki, terytorium francuskie zostało oszczędzone. Było to jednak przyznanie, że fenomen, którego rozpowszechnienie zależy już tylko od przypadkowych prądów powietrznych, posiada charakter transterytorialny. Przy rodzącej się dopiero technologii cała ta historia mogła zakończyć się wraz z wypadkiem, przy technologii bardziej rozwiniętej ma ona tu tylko swój początek, ponieważ skutki dadzą o sobie znać gdzie indziej i dużo później.

Ten porządek przemieszczenia terytorialnego i zwłoki w czasie nie jest właściwy jedynie dla atomistyki. Jest on charakterystyczny dla nowych źródeł energii. Katastrofa, która miała miejsce w porcie Minamata (zatrucie wód przybrzeżnych odpadami rtęci – przypis tłumacza) każe nam rozróżnić przyczyny i skutki zwiększające się z pokolenia na pokolenie: szczególna szkodliwość zatrucia rtęcią ujawnia się dopiero poprzez dziedziczenie genetyczne. Zatonięcie „Torrey Canion” i „Amoco Cadiz” pociągnęło za sobą bezpośrednie następstwa wśród fauny i flory, ale też długi ich ciąg bliżej nieokreślony w czasie, modyfikując lub znosząc warunki ponownego krzewienia się życia w przyszłości. Ogrzanie wód opuszczających elektrownie atomowe powoduje rozmnożenie się pewnych gatunków, mutacje (rozrost, monstrualność) innych, całkowite wyparcie ze środowiska gatunków dominujących.

Ale jeszcze w innym sensie katastrofa technologiczna przekracza granice lokalne lub ściśle oznaczone terytorium. Związane z dużymi, nowoczesnymi ośrodkami urbanistycznymi – i na ogół rzecz biorąc koniecznością obsłużenia wielkiej liczby ludzi – nowoczesne środki technologiczne działają nie wycinowo, ale w skali masowej, zagrażając całej ludności danego terytorium. Katastrofa chemiczna w Seveso, niedawne zatrucie Renu mają wpływ na

znaczną liczbę osób, ponieważ są one materialną bazą życia dużych miast i regionów najbardziej zaludnionych. Wychodząc poza regiony wiejskie, zanieczyszczenia zagrażają także dużym miastom (Mediolan, Strasburg) oraz niszczą warunki życia skupisk ludzkich, stworzone uprzednio przez rozwijający się przemysł. Dialektyka zaludnienia i wyludnienia realizuje się przy niepewnej równowadze korzyści i szkód, usług i zanieczyszczeń.

Sama technologia odgrywa tu rolę wywoływacza. Tam, gdzie jak się zdawało jest tylko zwykłe zestawienie w przestrzeni miejsc bardzo zróżnicowanych, ujawnia ona gęstą siatkę wymiany materii i energii, wzajemne oddziaływanie tego, co naturalne oraz tego, co pochodzi z kultury, żywności i budowli. Przemierza się drogi, rzeki i oceany z transportem szkodliwych surowców (gaz, nafta) kreśląc w ten sposób mapę, która pokrywa się z mapą zaludnienia, ale także obszaru zamieszkanego przez gatunki roślinne i zwierzęce żyjące w morzu, na ziemi i w powietrzu, wchodzące od zawsze w skład naturalnego środowiska człowieka, tworzące podstawę jego żywienia; powietrza, którym oddycha; wody, którą pije. Życie człowieka łączy z życiem jego środowiska niewidzialne więzy, ujawniane jakby za pomocą urządzeń do znakowania, przez zanieczyszczenia, wydobycie surowców i produkcję energii. Wskazując na wzajemną zależność różnych form życia, relatywizują one to, co dla nas jest absolutem: istnienie i wieczność społeczności ludzkich.

Fakt, że technologia nie ma już lokalnego charakteru rozwiewa złudne wrażenie co do istnienia miejsc schronienia, dziewiczych, niepogwałconych; gdzie, jak sobie paradoksalnie i w rozdzieleniu człowiek współczesny wyobraża, mógłby on zamieszkać. Chęć ucieczki przed światem staje się utopią, wówczas gdy nie ma już gdzie uciec. „Torować sobie drogę” było utopią lat siedemdziesiątych, jak gdyby Wschód można było zdefiniować jako odosobnione miejsce, oszczędzone przez „postęp”. W tym samym czasie upowszechnienie technologii powodowało równoległe, choć odrębne zjawiska czy to w Chinach, czy w Niemczech, czy też we Francji.

Niemożność znalezienia jakiegoś „miejsca” odosobnionego, odciętego od linii wysokiego napięcia oraz sieci wymiany i przepływu, ujawnia się także w nierozwiązalnym problemie szkodliwych odpadów, szczególnie nuklearnych. Nie wystarczy już „wrzucić” do morza lub zakopać w ziemi, trzeba je powtórnie wykorzystywać, a to jest właśnie podstawą przemysłu, który nie powinien wyobrażać sobie, że znajduje się „na końcu łańcucha”, bowiem prowadziłoby to do zniszczenia ogniwi, od których zależy całość systemu. Mit wnętrza i tego co na zewnątrz systemu technologicznego rozpada się wraz ze wzajemnym oddziaływaniem trujących odpadów i środowiska naturalnego, tego trupa, którego chcemy pochować, a który powraca na powierzchnię, obciążając konto przyszłych tysięcy.

W ten sposób technologia stawia nas w obliczu dylematu: z jednej strony rozprzestrzeniając się na powierzchni całej planety, wiążąc się z jej morfologią,

osaczając dogłębnie żywioty i siatki połączeń, które organizują ich wymianę, zamyka ona nasz świat sam w sobie. Wytwarzając bezustannie odpadki i zanieczyszczenia, naraża ona na skażenie jej żywotne siły, a jej zasoby na wyczerpanie w wyniku powszechnego zatrucia. Skażone powietrze i woda odsyłają do błędnego koła produkcji i konsumpcji, jeśli prawdą jest, że w końcu cyklu przemian odpadki, czyli produkty końcowe wchodzi w interakcje z materią wyjściową do przyszłej konsumpcji – jedzenie, picie i oddychanie zagrażają również swej własnej przyszłości.

Z drugiej strony, zamknięcie, o którym była mowa, jest całkowicie względne. Tylko o tyle, o ile życie ziemskie zależy od zachowania pewnych fizycznych i chemicznych warunków, planeta nasza może wydawać się zamkniętą, w tym sensie mianowicie, że cykle życiowe oddziałują na same warunki ich utrzymywania się. W rzeczywistości biosfera – jeśli już raz uznano, że nie jest ona elementem opatrnościowym i jak zakładano niezmiennym, naszych form życia, ale układem przypadkowym i przemijającym – jest raczej systemem otwartym, który wchodzi we wzajemne oddziaływania z energią kosmiczną i całością układu słonecznego. Ale to uzależnienie otwiera, a więc daje możliwość recyklicacji, tylko poprzez ukazanie niepewności, niestałości warunków, które umożliwiwszy życie, utrzymywały je utrzymując się same, zniosłyby je zaś ulegając modyfikacji.

To samo dotyczy temperatury: bada się Ziemię jako „maszynę cieplną” pobierającą i oddającą ciepło słoneczne w sposób nierównomierny i nieregularny w zależności od określonych punktów na jej powierzchni, pór roku, zmian nachylenia globu w płaszczyźnie jej orbity. Wychodząc od tych parametrów można „modelować” i określać periodyczne zmiany klimatu, przedstawić przeplatanie się w przeszłości, a nawet w przyszłości okresów lodowcowych i międzylodowcowych o temperaturach umiarkowanych. W ten sposób warunki klimatyczne uwidaczniają, jak niepewne jest istnienie życia cywilizowanego, związanego z łagodną temperaturą. Wzrasta prawdopodobieństwo, że aktualna epoka międzylodowcowa musi dobiec końca w przyszłości dającej się liczbowo określić tysiącami lat – w minionym okresie miliona lat obecne obliczenia wyróżniają 25 alternacji ciepła i zimna, podczas gdy dawne metody obliczeń wskazywały jedynie na 7 lub 8, tak że ostatnia trwała 60 tys. lat, a skończyła się zaledwie 11 tys. lat temu. Abstrahując od filozofii opatrnościowych, teleologicznych, od historii ludzkości jako urzeczywistniania się Rozumu, jak również odchodząc od astronomicznych i mechanicznych modeli biorących pod uwagę matematyczną regularność cykli planetarnych. Ziemia jawi się przy tym nowym spojrzeniu jako system, przez który przenikają prądy i wzajemne oddziaływania; wydaje się ona zależna, ogólnie rzecz biorąc, od elementarnych funkcji, których stosunek do całości jest tak odwrócony, że nie można go już dostrzec bez ponownego przejścia całości łańcucha zależności i przeanalizowania wszystkich elementów szczegółowych.

Co więcej, ta maszyna cieplna, jaką jest Ziemia, zależy od Słońca, źródła energii i życia. Źródło to, zaliczane w poczet bogów w starożytności, powracając na nowo do roli centrum u Giordana Bruna czy Galileusza, staje się utajoną groźbą dla przyszłości życia na Ziemi. Otóż, dokładna znajomość wzajemnych oddziaływań w systemie słonecznym unaocznia niebezpieczeństwa zakłóceń czy przerw w tych oddziaływaniach, które choć poznane przez człowieka nie poddają się jego władzy i odczuwane są z tej racji w całej rozciągłości. Począwszy od hipotez Einsteina na temat fal grawitacyjnych, klasyfikacja ciał posiadających masę we Wszechświecie ukazuje dwójakie zjawisko: wygasanie gwiazd bądź niesamowity przyrost ich gęstości w wyniku zużycia wodoru, który je konstytuuje. W zależności od swojej masy początkowej gwiazda staje się kolejno: białym karłem, gwiazdą neutronową lub czarną dziurą. Masa gwiazd, które stają się białymi karłami przez zapadanie się w siebie jest rzędu masy samego Słońca (co najwyżej 1,4 raza większa). Los Słońca wydaje się więc przesądzony, a jego „dni” policzone.

Co więcej, rozszerza się ciągle znajomość zakłóceń lub wstrząsów, które zachodzą w masie Słońca, na jego powierzchni lub też we wnętrzu. Heliosejsmologia, młoda nauka, w dziedzinie której współpracują Francuzi, Anglicy i Rosjanie pozwala zarejestrować drgania słoneczne, ich okresowość, zbieżność ich faz z fazami sąsiadujących mas. Niczym bijące serce, Słońce posiada swój rytm, wybija pewną metrykę, a mikrowstrząsy ziemskie wydają się tego dalekim echem. Przewrót umysłowy spowodowany możliwością przeprowadzenia po raz pierwszy obserwacji powierzchni „gwiazdy dziennej” wziął się ze zdumienia, jakie ogarniało wobec stygmatów świadczących o tym, że również ciała niebieskie podlegają zepsuciu: na Słońcu były plamy! Wieczny i odporny na zepsucie świat ponadksiężycowy wchodził w królestwo śmierci. Dziś, obserwatorzy i teoretycy nieba są niczym lekarze, co chcąc mierzyć w sposób coraz subtelniejszy mechanizmy życiowe systemu, do którego należymy, nie dysponują żadnym środkiem mogącym je wyleczyć z osłabienia ani też powstrzymać nieuniknionego dążenia w stronę „śmierci”, określanej jako energetyczna przemiana zachodząca między emisją energii świetlnej a skupianiem się w sobie materii. Nasza wieczna gwiazda rozblyszawszy, zmierzalaby następnie w stronę bieli (biały karzeł) lub w stronę czerni (czarna dziura).

Jawi się tu paradoks: hiperboliczny postęp w dziedzinie badań naukowych, w unowocześnianiu fizycznych i matematycznych modeli, nie prowadzi do tego, żeby wziąć w ręce przedmiot poznania.

Bogate i rozbudowane instytucje biorą na siebie obowiązek wiedzy, ale nadzieja na to, aby móc więcej (aby być wszechmocnym) cofa się niczym horyzont pozwalając poznać sąsiadować z niepewnością i obawą. Mówiąc językiem filozoficznym: jednym z motywów podjęcia badań naukowych przyrody przez poszukiwanie prawdziwych przyczyn zdarzeń było dążenie do zmniejszenia zarówno wątpliwości, jak i obaw. Za jeden z warunków

urzeczywistnienia wolności Epikur uważał usunięcie próżnych obaw przez zastąpienie fikcyjnych sił łatwymi do pojęcia materialnymi przyczynami, bogów samą materią. Oświecenie czyniło z postępów poznania i wiedzy praktycznej ostrze kopii w walce o dobro ogółu.

Wciąż jeszcze ten projektujący i filozoficzny nurt intelektualny, zwrócony ku pomyślniejszej przyszłości, gdzie życie byłoby zdobywaniem szczęścia jednocześnie z wolnością, znajdował praktyczne potwierdzenie w działalności medycznej i serii zwycięskich walk przeciw epidemiom, plagom i chorobom, które były tak charakterystyczne dla XIX w. Przechodząc od terapii do prewencji, a następnie do polityki zdrowotnej, zbiegającej się z wysiłkiem kontroli sposobu życia całej ludności, medycyna stawała się oświeconą alternatywą, potężnym strumieniem światła rozprasającym ciemności przesądów i zła. Badania terenowe prowadzone tam, gdzie rodziło się zło (złe wyżywienie, alkoholizm, epidemie) dzięki Villermému we Francji i inspektorom fabryk w Anglii przeżywały swój heroiczny okres, zbiegając się równocześnie z oskarżeniem o nieludzkość warunków życia w osadach robotniczych, które zainaugurował Engels swoim *Położeniem klasy robotniczej w Anglii*.

Zło związane z warunkami życia i zdrowia – na szczęście przejściowymi – zaczęto postrzegać jako historyczne. Ekstrapolując światowy sukces akcji powszechnego szczepienia i prewencji, można było przewidzieć bliski koniec pojęcia człowieka chorego, zniesienie wyroku śmierci dla całych populacji skazanych przez niesprawiedliwość społecznego losu. Czy historia medycyny potwierdza te nadzieje, te marzenia o końcu cierpień cielesnych? A pytając w sposób bardziej ogólny, jeśli nadzieja na koniec cierpień znalazła swoje ugruntowanie w niekwestionowanych sukcesach medycznych, czy obecne czasy potrafiły umocnić optymizm pionierów higieny publicznej?

Z pewnością wiedza szersza i lepsza nie stanowi automatycznie synonimu mocy ani też wszechmocy. Poznanie pewnych mechanizmów dopełnia się przez odkrywanie sfer niepewności, marginesu zależnego od przypadku. Im bardziej rozciąga się i konsoliduje panowanie instytucji wiedzy, tym bardziej skandaliczne stają się niewiedza i bezradność. Niemożność zapobieżenia cierpieniom, których proces powstawania potrafimy opisać sięgając aż do mikroskopijnego poziomu, nadaje im zabobonne piętno przekleństwa, wydawałoby się zażęganego na zawsze przez zdobywcą ideologię laicką ubiegłego wieku. Po erze raka, gdy problemem centralnym była siła charakteru, wola walki z tą karą cielesną, następuje era AIDS, w której akcent przesuwa się na moralność. Choroba ta spełnia rolę trybunału obyczajności, który karze śmiercią zło i zepsucie. Czyżby dawne odruchy izolowania trędowatych i zadżumionych miały się znów objawić po setki lat liczącym uspieniu? Jesteśmy świadkami ciekawego nawrotu do przeszłości: chore ciało daje się zauważyć, gdy odmawia mu się przynależności do ciała społecznego i cierpi wówczas podwójne wykluczenie, fizyczne i moralne.

Ci, którzy cierpią zło w swoim własnym ciele wchodzą w ów dwuznaczny obszar, zamieszkiwany niegdyś przez martwych za życia, błędzących na obrzeżach osad ludzkich pokutując przez to nieszczęście za zło, którego nabawili się i które od tej pory wcielali.

Za wcześnie jednak na tego typu uogólnienia. Nie znane są jeszcze wyniki akcji prowadzonej przez prasę amerykańską, mianowicie przez „Wall Street Journal” (mającej na celu sprawdzenie wyników poprzednich badań). Doktor J. Anthony Morris wskazuje zadziwiającą zbieżność dwóch faktów: pojawienie się wirusa AIDS u homoseksualistów z Nowego Jorku i San Francisco około 1979 r. i pierwszych prób ze szczepionką przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby przeprowadzonych na tej samej ludności. Wykazuje się również, że pod groźnym skrótem AIDS kryje się wieloraki syndrom, grupujący symptomy więcej niż dziesięciu różnorodnych chorób; amerykańska służba zdrowia nazywa wirus AIDS „wirusem zaniku bariery immunologicznej”, pozwalając rozumieć, że wszelki brak odporności organizmu pochodzenia wirusowego mógłby wtedy ulec pomyleniu z tą przeklętą chorobą. Rodzi się przypuszczenie, że chodzi tu tyleż o złowrogi twór skonstruowany i wprowadzony na widownię przez środki masowego przekazu, co i o nowy rodzaj choroby związanej z upadkiem obyczajności.

Ale ta wprowadzająca w zakłopotanie dwuznaczność obsesji AIDS, graniczy z irracjonalną wręcz reakcją. Fenomen ten przekracza ramy medycyny, pokazuje że zło nie może być jedynie obiektem poznania oraz prewencji za pomocą odpowiednich technicznych środków zaradczych. Wraz z podporządkowaniem zła medycynie pogłębiła się przepaść, która od czasów Reformacji rozwiera się między tym, co na Ziemi a tamtym światem; między tym, co naturalne a tym, co ponad naturalność wykracza. Po części zło jest obiektywne i zewnętrzne, należy do sfery władzy człowieka nad naturą, po części zaś znajduje się wewnątrz samego człowieka, dotyczy jego szans na zbawienie, panowania nad sobą i stosunku do Prawa.

Wysiłek techniczny i społeczny, aby pomieścić zło w naturalnych granicach choroby, wyczerpuje się w tej bardziej intymnej relacji, która każe stawić się współczesnemu człowiekowi przed sądem własnego sumienia. Każde ważne wydarzenie ze sfery przemysłowej znajduje tu swój oddźwięk i wyraża się w nieczystym lub wolnym od win sumieniu. Otóż, co do tego punktu, kończący się wiek nie zapomniał osłabić poczucia optymizmu i czystego sumienia, które towarzyszyły terytorialnej i kulturalnej ekspansji Zachodu w zeszłym stuleciu. Wiek XX uległ rozdarciu. Możliwy do przyjęcia obraz ludzkości mozolnie kształtuje się na nowo od zwycięstwa Aliantów, opiera się on na niepewnej mieszaninie amnezji i hiperamnezji, to jest dwóch symetrycznych chorób pamięci. Należy zapomnieć, że technologiczny optymizm mógł doprowadzić do podwójnej zgrozy „ostatecznego rozwiązania” w postaci fabryki śmierci innego człowieka oraz przedwczesnego końca konfliktu zbrojnego w wyniku

odstraszającego użycia energii atomowej przeciw ludności cywilnej dwóch miast Japonii będącej jeszcze w stanie wojny. Należy zapomnieć, że z jednej i drugiej strony właśnie *my*, członkowie kulturowej wspólnoty Zachodu rozdawaliśmy śmierć technologiczną: jedną tradycyjną (chemiczna manufaktura oparta na śmiertelnościami użyciu gazu i kremacji ciał w ogniu), drugą nowoczesną (rozszczepienie jądra atomowego, wyeliminowanie wszelkiego życia w określonym obszarze, efektach dających o sobie znać dopiero w przyszłych pokoleniach i poza granicami tego obszaru). Należy także ocalić od zapomnienia prowizoryczny związek technicznej racjonalności i irracjonalnego szalu, technologicznej zbrodniczości potężnych mocy przekształcających siły natury w broń przeciwko człowiekowi i jego potomstwu.

Nowo powstały związek technologii i działalności pokojowej staje się w świetle powyższego niepewny, zwłaszcza, że droga jego realizacji zależy w dużym stopniu od decyzji koalicji sił, które przeciwstawiają się rozwojowi cywilizacji przybierając formę destrukcyjnej nienawiści. Dlatego też wszelkie oznaki słabości techniki wykorzystywanej dla celów pokojowych, jak i nowatorskich rozwiązań technologicznych, są śledzone z dużą uwagą i podejrzliwością. Wytacza się proces Rozumowi, od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy, przy każdej, nawet błażej decyzji. Właśnie w łonie instytucji Zła wydaje się pojawiać w sposób naturalny, świadcząc o tym, że tracą one zaufanie: kryzys zaufania łączy się stale z użytkowaniem energii, prewencją oraz terapią w medycynie, a także instytucjami badań naukowych.

W ten sposób strach przed powrotem Zła powoduje umniejszanie energii, która ma je kanalizować, kontrolować oraz ograniczać. Nasz koniec wieku zafascynowany przeszłością, jest źródłem obsesyjnej myśli o końcu świata, w której zbiegają się wszystkie siły rozdzielające, wszystkie moce reakcji. Dowodzi to, że chcąc zamknąć zło i nieszczęście w obszarze dostępnym poznaniu i dającym się opanować, pozbawiamy się naszych wewnętrznych środków kontroli spustoszeń, jakie są skutkiem niszczycielskich namiętności. Od nieszczęścia przynieszonego przez dzieje głębsze jest upodobanie w nieszczęściu, które należałoby uchwycić i odsunąć w przeszłość. To *my* jesteśmy sprawcami własnego nieszczęścia.

Tłum. *Małgorzata Kwietniewska*
Przekład przejrzał *Ryszard Panasiuk*